

MARG | NES

CZERWIEC 2017 SZKOŁA ● UCZNIOWIE ● PRASA

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY
NAKŁAD WŁASNY



W numerze

- 2 Rozrywka między kartkami na wakacje
- 3 Nie taki Diabeł straszny...
- 5 Wakacyjna praca
- 6 Stalking is my life
- 6 Grzeczność i kultura osobista
- kiedyś i dziś
- 7 Naturalna, przyjemna i efektywna nauka
języków obcych - cz.2
- 7 Guardians of the Galaxy Vol.2
- 9 Myślące maszyny
- 10 Automat z piekła rodem

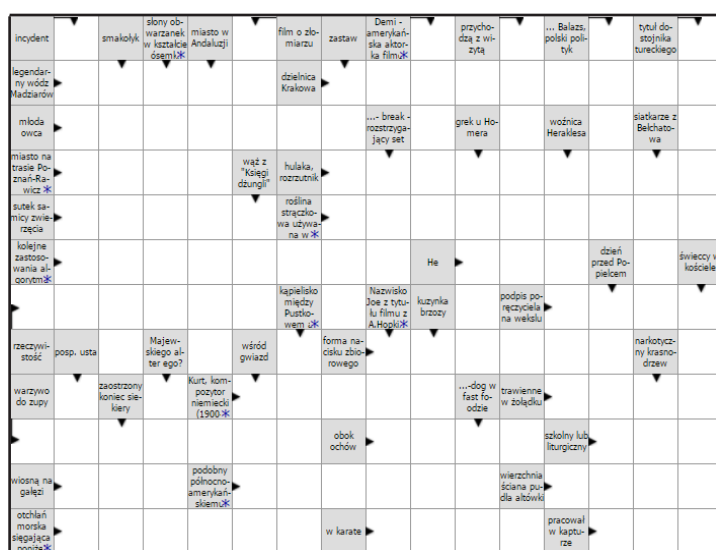
Rozrywka między kartkami na wakacje

Maciej Łapczyński

Czas wakacji zbliża się wielkimi krokami, w zasadzie już tylko chwila dzieli nas od niego. Każdy będzie spędzał je według własnego uznania oraz odpoczywał w sposób, który sprawia mu najwięcej radości. Warto pośród odpoczynku fizycznego znaleźć również czas na odpoczynek psychiczny, a nic tak nie relaksuje jak dobra książka (najlepiej czytana w chłodnym cieniu palm na wybrzeżu). Każdy ma własne preferencje co do gatunku wybranych lektur. Ja chciałbym podzielić się z wami moimi typami, które wg mnie w pełni zasługują na to, aby sięgnąć po nie w ten letni czas.

Pierwszym z nich będzie saga traperska polskiego pisarza, publicysty i prozaika Wiesława Wernica. Opowiada ona o losach traperza Karola Gordona i jego przyjaciela, doktora Jana. Jest to seria dla każdego miłośnika westernów, a także tych z was, którzy lubią wartką akcję oraz liczne, niecodzienne przygody głównych bohaterów. Idealnie nadaje się do czytania w hamaku, ze szklanką soku poobiednią porą. Osoby kręcące się w klimacie fantasy, które wahają się sięgnąć po tę pozycję wcześniej wymienioną, zapewniam, że „Pieśń lodu i ognia” popularnie zwana „Grą o tron” (dzięki serialowi) jest bezsprzecznie najlepszym wyborem na wakacje. Barwna, krwawa oraz zaskakująca intryga to - w skrócie - istne arcydzieło w wykonaniu G.R.R. Martina. Myślę, że nie ma sensu nikomu opisywać fabuły, której popularność dzięki serialowi jest ogromna. Warto jednak dodać, że jak zawsze książka oferuje nam o wiele więcej, a także w bardziej interesujący sposób przedstawioną treść.

Ostatnią pozycję polecam nocnym markom lubiącym dreszczyk emocji i tajemniczości. Są to książki brytyjskiej autorki powieści kryminalnych i obyczajowych Agathy Christie. Czyta się je z zapartym tchem, a zakończenie zawsze zaskakuje. Szczególnie godne polecenia są: „Morderstwo w Orient Ekspresie”, „Dziesięciu Murzynków”. Mam nadzieję, że dzięki tej recenzji wasze wakacje staną się jeszcze bardziej ciekawe oraz że przekonacie się do formy odpoczynku, jaką jest czytanie książek.



Gazeta Szkolna ZSŁ

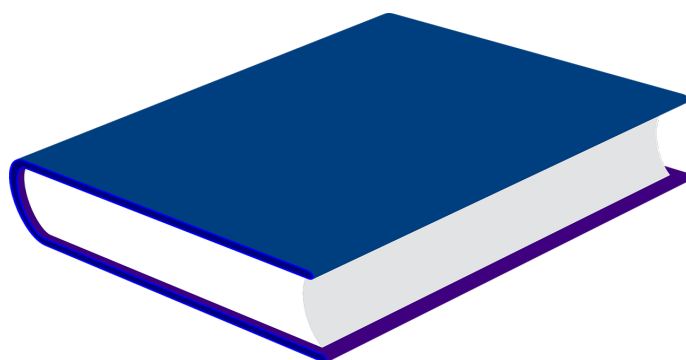
Redakcja w składzie:

Michał Grabowski (red. naczelny), Michał Romek (skład),
Piotr Bartyzel, Krzysztof Głowacki, Piotr Mazurek,
Paweł Hadrian, Jan Kuśmierczyk, Maciej Łapczyński,
Aleksandra Świerczek, Paweł Suchan

Opieka/konsultacja/korekta:
mgr Bogusław Bogusz

e-mail: margines@tl.krakow.pl
www: margines.tl.krakow.pl

MARGINES



Nie taki Diabeł straszny...

Niezbýt krótka rozmowa z Dyrektorem, czyli prawdziwe oblicze Antoniego Borgosza

Z dyrektorem ZSŁ mgr. Antonim Borgoszem rozmawiali Paweł Hadrian i Jan Kuśmierczyk

Paweł: Jak to się stało, że został Pan Dyrektorem nauczycielem? Co Pana do tego skłoniło?

Proszę Panów, zaczęło się to bardzo prozaicznie. Tak jak każdy w życiu, marzyłem, żeby kimś zostać, a zatem lotnikiem lekarzem i... księdzem. Zupełny przypadek spowodował to, że moje zainteresowania skierowały się w stronę zawodu nauczyciela. W szkole podstawowej miałem znakomitą polonistkę; nie tylko świetnie uczyła, ale również potrafiła pokazać, na czym polegają relacje pomiędzy ludźmi. Robiła to niezwykle i przez to ukazywała piękno zawodu nauczyciela. W liceum nie miałem sprecyzowanego stanowiska co do wyboru zawodu. W klasie pierwszej imponował mi dyrektor, który uczył biologii. Świetnie nauczał, był w tym dobry. Dlatego też z początku interesowała mnie edukacja w kierunku medycyny. Później przyszedł czas na zawód nauczyciela, a wcześniej jeszcze księdza. Jakoś zawsze to za mną chodziło. Nie wiem, jak ja bym wyglądał w sutannie. W liceum miałem znakomitego księdza, który rewelacyjnie uczył i miał kapitalny kontakt z młodzieżą. Pamiętam, że jak kończyliśmy osiemnastkę, zaprosił nas na lekcji religii, całą grupę, i po raz pierwszy piłem wino z nauczycielem. Oczywiście to była tylko lampka wina. Dla mnie niepojęte było się z nauczycielem przy jednym stole, rozmawiać na różne tematy i popijać wino. Byłem tym tak zszokowany, że rozlałem to wino. Ale ksiądz w swojej łaskawości nalał mi jeszcze jedną lampkę.

Tak na dobrą sprawę to nie lubiłem matematyki, nienawidziłem matematyki, ale musiałem się jej uczyć, żeby otrzymać stypendium. Aż do czasu, gdy w czwartej klasie zaczął nas uczyć matematyki starszy pan, lwowiak. Matematyka z nim była jak poezja. Nieprawdopodobnie można się było rozkochar w matematyce. Powiedziałem sobie wtedy: „Borgosz, idź na matematykę w kierunku pedagogicznym”. I tak to się zaczęło.

Jan: Dlaczego zdecydował się Pan uczyć akurat w naszej szkole?

To również przypadek. Skończyłem studia, miałem stypendium fundowane w Kielcach. Z walizką, jechałem do instytucji, w której miałem pracować jako nauczyciel. Dziwnym zbiegiem okoliczności nie zdążyłem na pociąg. Na dworcu spotkał mnie wtedy mój były profesor z uczelni. Gdy mnie zobaczył, powiedział: „O Boże! A ja przez dwa tygodnie pana szukałem, żeby się z panem skontaktować. Jest wolny etat asystenta na Uniwersytecie Jagiellońskim w Katedrze Logiki”. Mówię: „Panie Profesorze, ale ja mam stypendium fundowane”. On odparł stanowczo: „Ja pytam, proszę pana, czy pan chce pracować na uniwersytecie jako asystent”. No więc mówię: „Ale Panie Profesorze, ja mam stypendium”. „Powtarzam pytanie, czy chce Pan pracować jako asystent?”. „Tak oczywiście”. Załatwił wszystkie formalności związane z obowiązkiem odpracowania pobranego stypendium. No i zacząłem pracować od 1 października 1966 roku na stanowisku asystenta w Katedrze Logiki UJ. Wspaniała atmosfera, wspaniali naukowcy. Jeden

prozaiczny powód odmienił wszystko. Zarabiałem 1000 zł, a za mieszkanie płaciłem 500. Tylko 500 zł zostawało mi na wszystkie przyjemności. Za mało tego było. Musiałem dorażać. Udzielałem korepetycji z matematyki córce przewodniczącego rady rodziców Technikum Łączności. Któregoś dnia powiedział do mnie: „Wie Pan co, dyrektor ogłasza konkurs na stanowisko nauczyciela matematyki”. 28 czerwca 67 roku, prawie dokładnie 50 lat temu, zgłosiłem się do dyrektora i później stanąłem przed komisją. Spośród 10 kandydatów wybrano dwie osoby, między innymi mnie, jako kandydatów na stanowisko nauczyciela. W 1967 miałem pół etatu, pracowałem na uniwersytecie i w szkole. W szkole za cały etat płacono 2900 zł. Pierwszego września zgłosiłem się do pracy. Pan dyrektor Majewski spojrzał na minie i powiedział: „Wiesz co? Mam do obsadzenia wychowawstwo w klasie 3T. Jak Pan z nimi wytrzyma do końca roku, to może Pan uczyć w tej szkole”. Było to ambicjonalne zagranie. Proszę sobie wyobrazić, pierwszego września 1967 roku rozpocząłem pracę w Technikum Łączności. Wszedłem do tej klasy i pomyślałem sobie: „Boże, żebym wytrzymał do końca roku”. Były to indywidualności nieprawdopodobne. Udało mi się nawiązać dobry kontakt z nimi, poprzez turystykę. Założyliśmy koło turystyczne, chłopcy wymyślili znakomitą nazwę: „Zdobycze łona”. Mieli taki proporczyk, przepiękny proporczyk, z właśnie napisem: „Zdobycze łona”. Oczywiście, jeżeli byliśmy gdzieś w terenie i oni maszerowali z tym proporczykiem, wzbudzaliśmy totalne zgorszenie. Udało się nawiązać z nimi taki emocjonalny kontakt, że polubiłem tę klasę i myślę, że dobrze ze sobą współpracowaliśmy. Wytrzymałem z nimi i zostałem nauczycielem w Technikum Łączności.

Paweł: Jak wyglądały Pana pierwsze lata w szkole?

Byłem pracownikiem uniwersytetu i jednocześnie pracownikiem szkoły. W obu instytucjach panowała znakomita atmosfera. Kierownikiem Katedry Logiki był profesor Pasenkiewicz. Znakomity naukowiec, człowiek o gołęmbim sercu. Potrafił on wytworzyć klimat autentycznej współpracy naukowej. Z drugiej strony atmosfera pracy w Technikum Łączności była tak nieprawdopodobnie miła, że po prostu chciało się uczyć w tej szkole. To, co ostatecznie zdecydowało o tym, że zostałem w technikum, to turystyka. Uprawianie jej znakomicie integrowało społeczność szkolną. Prezesem Szkolnego Oddziału PTTK był profesor Janusz Korosadowicz. Nietuzinkowa postać, pasjonat. Żył turystyką, organizował turystykę na terenie szkoły. Wycieczki, rajdy - zawsze znakomicie przygotowane cieszyły się ogromną popularnością. Sezon turystyczny rozpoczynaliśmy na Leskowcu. Jechaliśmy do Andrychowa a następnie do Rzyk, skąd o godzinie 21 wyruszaliśmy z pochodniami na Leskowiec. W schronisku czekał na nas kierownik, Pan Korzeń, niesamowity gawędziarz. Siedzieliśmy na podłodze i przy palącej się świeczce gawędziliśmy do godziny 24. Następnie biegliśmy pod triangul na szczycie i tam miały miejsce dzięki tańce wokół tego triangula. Boże! Gdyby moi uczniowie zobaczyli teraz, to co myśm tam wyprawiali, to... a może dobrze, że nie mogą tego zobaczyć. Pan Korosadowicz nie tylko potrafił rozmiłować w turystyce, ale nadawał jej takie pełne ciepła oblicze. Jego słynne hasło na wycieczkach to: „Wiwat celibat”. Ten klimat tak mnie wciągnął, że w końcu postanowiłem na stałe związać się z „Łącznością”. Stało się to 1 września 1968 roku. Z bólem serca odszedłem z uczelni.

Jan: Czy denerwują Pana czasem uczniowie? Co Pan z tym robi? Jak ma Pan wspomnienia związane z uczniami?

Jeżeli uczniowie kogoś denerwują, to nie powinien on być nauczycielem. To dzięki nim człowiek może ciągle czuć się młodo. Doświadczyłem całe mnóstwo momentów, które uskrzydlały, momentów, które wskazywały, że ten zawód jest zawodem dostarczającym dużo szczęścia. Były również momenty trudne, ale zawsze udawało się z nich wyjść cało. W zasadzie codziennie każdy nauczyciel jest aktorem. Po drugiej stronie aktorami są uczniowie i grają swoją rolę. Role uczniów i nauczycieli są różne. Rzecz w tym, żeby z tego nie wyszedł dramat ani komedia, ale żeby udało się stworzyć z tego coś lekkiego, pogodnego. Bardzo lubię pracę z młodzieżą. Wspomnieniami wracam do klasy 3T, której - rozpoczynając pracę - zostałem wychowawcą. Osiągnięte efekty miały przekonać dyrektora Majewskiego, że się nadaję do tego zawodu. W tej klasie było kilku fajnych młodych ludzi. Był wśród nich Grzesiek Wiśniewski, nazywany przez innych ojcem z tego powodu, że był o rok starszy ode mnie. Ja miałem 23 lata on miał 24. Miło wspominać Wojtkę Żanowskiego, przewodniczącego Rady Klasowej. To on pomógł mi zapanować nad zespołem, trudnym zespołem. Zdolnościami, taktem i kulturą wyróżniał się Włodek Ziółto. Wiązałem z nim naprawdę wielkie nadzieje. Ostatniego dnia nauki w klasie trzeciej (następnego dnia miałem mu wręczyć świadectwo z paskiem) poszedł z kolegami nad Wisłę, wykonał jeden nieostrożny ruch i wir go wciągnął, utopił się. Do tej pory widzę twarz tego młodego człowieka. Tyle dobrych momentów dydaktycznych doświadczyłem dzięki jego osobie. Momentem najbardziej dramatycznym w tym wszystkim było to, że mnie przypadła rola osoby, która miała poinformować rodziców o śmierci ich syna.

I jeszcze jeden tragiczny wypadek, którego nie da się zapomnieć. Koleżanka zorganizowała klasową wycieczkę. Wyraziła zgodę, aby dwóch chłopców pojechało na wycieczkę motorem. To było w okolicy Limanowej. O godzinie 22 ci chłopcy chcieli sobie zrobić małą przejażdżkę. Właśnie tym motocyklem wpadli do rowu. Jeden z nich, Stasiu Spólnik, poniósł śmierć na miejscu. Znowu na mnie spadł obowiązek powiadomienia rodziców. Okazało się, że chłopak jest jedynakiem, który nie miał ojca. Wyobraźcie sobie, że przekazywanie informacji matce, która ma jedynego syna... wspianego chłopca... i również ja musiałem to zrobić. Przeżyłem to bardzo. Pamiętam to spotkanie z matką. Widzę na stoliku tej Pani, prostej kobiety, takim pismem trochę niewyrobionym karteczkę opartą o krzyżyk, na której było napisane: „Naucz mnie Panie ufać Twojej woli i w niedoli, i gdy boli”. To były te przypadki, które boją, to były te trudniejsze momenty.

Praca z młodzieżą daje niesamowicie dużo satysfakcji i przyjemności. Absolwenci przysyłają maile, w których dzielą się swoimi radościami i problemami. Niedawno, jeden z moich byłych uczniów napisał mi: „Panie Profesorze, urodziła mi się córka. Nie byłem dobrym matematykiem, ale jednak coś potrafię”.

Paweł: Jak to jest być dyrektorem szkoły o takiej renomie?

Jest to ciężka praca, nie mówię tego dlatego, abym się użalał nad swoim losem, bo sam tego chciałem. W momencie, gdy wygrałem konkurs na dyrektora 27 lat temu, powiedziałem sobie: „Borgosz masz być sobą, nikt cię na rękach nie będzie nosił. Jesteś odpowiedzialny za tych młodych. Odpowiadasz za to, na ile ta szkoła przygotuje ich do wej-

ścia w dorosłe życie, pod względem zawodowym i tym, który pozwoli im dobrze funkcjonować w rodzinie. To powinni być młodzi ludzie z klasą, wrażliwi na sprawy innych, umiejący kochać drugiego, tzn. czuć jego obecność”. Pamiętam, pierwszego września 1990 roku mój syn rozpoczynał naukę w V liceum, a ja miałem wziąć udział w pierwszej inauguracji roku szkolnego. Żona każdemu z nas dała kopa i powiedziała: „No ciekawa jestem, który z was wcześniej skończy”. To, na czym zawsze mi zależało, to aby stworzyć w szkole klimat, atmosferę sprzyjającą autentycznej aktywności, zarówno młodych, jak i grona nauczycielskiego. Właściwy klimat sprzyja aktywności intelektualnej. Stąd też biorą się wyniki. Wielokrotnie powtarzałem, że ludzki umysł jak spadochron, działa, gdy jest otwarty. Jestem ogromnie wdzięczny losowi, że udało mi się zgromadzić w szkole tylu wspaniałych nauczycieli. Znakomicie przebiega współpraca z firmami. Wielu szefów tych firm to nasi absolwenci. To co mi utrudnia życie, to niejednokrotnie bezsensowne przepisy, przygotowywanie pism, które nic nie dają, a zabierają tylko czas.

**Jan: Rozumiem; niech nam Pan powie, jak Pan widzi przyszłość naszej szkoły?**

Niedawno miałem piękny sen. Śniło mi się, że po latach (w drugim wcieleniu) wracam do szkoły. Ta szkoła w rankingu nadal zajmuje pierwsze miejsce w Polsce. Wszedłem do kilku pomieszczeń dydaktycznych. W tych salach aż kapało od audiowizualnych środków dydaktycznych. Poszedłem na boisko. Stał tam piękny basen, z którego korzystali nasi uczniowie. Troszkę dalej zobaczyłem drugą salę gimnastyczną. Ponownie wracam do szkoły i widzę mnóstwo uśmiechniętych twarzy. Na lekcjach stosowane są nowoczesne metody oraz środki dydaktyczne. Zniknęły zwykłe tablice kredowe, a uczniowie pracują w grupkach seminaryjnych. Dyrektor Paweł Kucharczyk z dumą mówi o absolwentach, którzy są ministrami, a jeden z nich jest ministrem edukacji. I nagle przez sen słyszę: „Michał, ty Gargamelu...” Budzę się.

Paweł: Czy poza brydżem ma Pan jakieś zainteresowania? Jaką ma Pan dewizę, czym się w życiu kieruje?

Jeśli chodzi o liczbę zainteresowań, to miałem ich w życiu sporo. Z upływem czasu przybierało obowiązków i automatycznie zmniejszała się liczba pasji, dodatkowych zainteresowań. To normalne i naturalne. Pozostała jedna pasja – turystyka. Uprawianie turystyki uszlachetnia. Człowiek nie tylko poznaje piękno ojczystego kraju czy innych państw, ale również ta bliskość z naturą powoduje wewnętrzne wyciszenie. Turystykę uprawiałem w czasach liceum i harcerstwa. Na studiach wyższych tworzyliśmy znakomitą grupę turystyczną. Co najmniej dwukrotnie każdego miesiąca wyjeżdżaliśmy w teren na dwu lub trzydniowe rajdy, na których spotykałem wielu wspaniałych ludzi. Kiedyś przeżyłem fantastyczną przygodę. Byliśmy na rajdzie, piękna pogoda, jesteśmy już na Czerwonych Wierchach. Idę z koleżanką, rozmawiamy na różne ciekawe tematy. W pewnym momencie ona mówi: „Jezus Maria, ksiądz biskup”, patrzę i słyszę: „Nie Jezus Maria, tylko Wojtyła”. Dołączył do nas, szedł z nami, wspaniały gawędziarz. Tak sobie rozmawialiśmy na różne tematy. To było kapitalne przeżycie. Później moje zainteresowania powędrowały w kierunku spraw dotyczących pogodzenia teorii ewolucjonizmu z nauką kościoła. Będąc studentem, uczestniczyłem w pracach w klubie „Beczka” przy klasztorze dominikanów. Tam poznałem bliżej księdza kardynała Wojtyłę, ks. Tischnera oraz księdzem profesora Sedlaka. Ostatni z nich był człowiekiem zainspirowanym nauką francuskiego prezbitera, Teilharda de Chardin, który właśnie jako pierwszy próbował pogodzić naukę Kościoła z teorią ewolucjonizmu. O tym właśnie traktowała książeczka prof. Sedlaka pt. „Homo electronicus”, kapitalna zresztą. Zaglądam czasem do niej. Otóż w tej książce Ksiądz Profesor mówi: „Człowiek składa się z trzech warstw”. Mowa tu była o warstwie chemicznej, warstwie biologicznej i trzeciej, nazwaną warstwą elektryczną. Kiedy człowiek umiera, warstwa chemiczna i biologiczna zostaje, a z człowieka wypromieniowuje kwant energii. Wyśmienita rzecz.

Moją pasją było również wędkowanie. Wspaniała przygoda w czasie wakacji, kiedy wpływa się kajakiem w trzcinę o trzeciej rano i człowiek widzi tę budzącą się do życia przyrodę. W pewnym momencie szarpnięcie. I to jest ten moment niezwykle magiczny. Szarpnięcie z drugiej strony, no i haczyk bez ryby. Jednakże wędkowanie dostarczało mi sporo przyjemności. Podsumowując: brydż, wędkowanie i cały stos książek, które chciałem przeczytać. Może i jeszcze inne zainteresowania się pojawiają. Są skromne, ale jednak ta praca bardzo pochłaniała. Po szkole wracało się do domu i wielokrotnie miałem wyrzuty sumienia, że rodzinie nie poświęcałem tyle czasu, bo trzeba było się przygotować do lekcji, napisać jakieś sprawozdanie na następny dzień.

Jan: Dziękuję, teraz już ostatnie pytanie do Pana Dyrektora. Chcielibyśmy się dowiedzieć czego życzy Pan swojemu następcy i uczniom?

Mogę to wyrazić matematycznie. Mamy cztery działania: dodawanie, odejmowanie, mnożenie i dzielenie. Warunkiem sukcesu – a tego życzę mojemu Następcy – jest, aby te cztery działania realizował w praktyce, tzn.: dodawał współpracownikom sił i otuchy; odejmował trosk, mnożył pozytywne emocje, dzielił trudy proporcjonalnie do możliwości współpracowników. I najważniejsza kwestia, by pamiętać o tym, że występuje w roli służebnej. Ma służyć młodemu pokole-

niu oraz tak kierować tym procesem, aby wszyscy odczuwali wewnętrzną potrzebę doskonalenia się, zdobywania wiedzy, tudzież parcia do przodu. Ważnym jest też, żeby umiał wytworzyć odpowiedni klimat, dobrą atmosferę, bo wszystko od tego zależy. Uczniom życzę, by uczęszczanie do tej szkoły sprawiało im przyjemność, by czuli się dobrze i bezpiecznie oraz żeby mieli takie wewnętrzne przekonanie, że uczęszczając do szkoły, dzięki której będą mieć udane życie zawodowe i rodzinne. Przytoczę tu maksymę Ernesta Hemingwaya, którą wam, młodzi, dedykuję: „Zanim przemówisz, posłuchaj. Zanim zareagujesz, pomyśl. Zanim się poddasz, spróbuj”. I gdybym miał jeszcze czegoś życzyć uczniom, to „Marzeń, o które warto walczyć. Radości, którą warto się dzielić. Przyjaciół, z którymi warto być i nadziei, bez której nie da się żyć”.

Wakacyjna praca

Piotr Mazurek

Wakacje zbliżają się wielkimi krokami i na pewno część z nas będzie chciała znaleźć

Na wstępie warto zaznaczyć, że osobą młodocianą nazywamy np. ucznia liceum lub technikum, który ukończył 16 lat i nie ma jeszcze 18 lat. Według prawa taka osoba może zostać zatrudniona do pracy, która w żaden sposób nie zagraża jej życiu oraz nie ingeruje w edukację.

Tygodniowy czas pracy nie może przekraczać 12 godzin w okresie roku szkolnego, a w okresie wakacyjnym oraz w trakcie zimowych ferii możemy pracować 7 godzin na dobę. Dodatkowo przy 4,5 godzinach pracy przysługuje nam 30 min przerwy, które są wliczne w czas pracy.

O wyżej wymienionych prawach pracy osób młodych warto pamiętać, ale to już koniec gadania o podstawach prawnych. Przy szukaniu wakacyjnej pracy warto wziąć pod uwagę kilka rzeczy. Po pierwsze, czy ma być to praca fizyczna np. jako kelner lub barman, czy też wolimy pracę umysłową.



Jeśli chodzi o pracę fizyczną, będziecie musieli w większości przypadków udać się na badania do ośrodka medycyny pracy. Takie badanie miał wykonywany każdy z nas przy rekrutacji do naszego technikum.

Bez nich pracodawca nie będzie mógł nas zatrudnić. Może też zdarzyć się tak, że wymagana będzie książeczka sanepidu, jeśli macie zamiar pracować w strefie gastronomicznej. Taką książeczkę możecie kupić w księgarniach, natomiast koszt związanych z nią badań wynosi 90zł. Przy pracach umysłowych sprawa wygląda prościej, chociaż mogą być wymagane podstawowe badania np. okulistyczne.

Jest też kilka ważnych zasad, które dotyczą się każdej pracy: Notuj sobie, ile zarobiłeś w ciągu każdego dnia lub tygodnia. Nie każdy musi być uczciwy względem innych i nie koniecznie wypłaci pełną wypłatę, dlatego warto mieć zawsze wszystko rozpisane. Jeśli korzystasz z firmowego skutera lub roweru, zrób zdjęcia uszkodzeń, jakie są na danym pojeździe. Dzięki takim fotkom unikniesz zapłacenia odszkodowania za uszkodzenia, których nie wyrządziłeś.

Mam nadzieję, że przynajmniej część porad wam się przyda podczas szukania pracy w te wakacje. Z własnego doświadczenia wiem, że z dobrej pracy mamy dużo korzyści. Pracując w tamtym roku, dzięki takiemu zatrudnieniu podszkoliłem swój język angielski poprzez rozmowy z turystami. Naprawdę warto szukać pracy takiej, która pozwoli nam na zarobienie pieniędzy oraz na rozwijanie swoich umiejętności.

Stalking is my life

Michał Grabowski

RECENZJA FILMU „FOLLOWING” CHRISTOPHERA NOLANA.

Śledzenie innych ludzi kojarzy się nam bezpośrednio z pewnego rodzaju dewiacją bądź perwersją występującą u śledzącego. W wielu przypadkach jest to niepojęta fascynacja osobą śledzoną wsparta nieumiejętnością nawiązywania z nią kontaktu. Bywają również przypadki, w których osoba śledzona jest zupełnie przypadkowa, spotkana na ulicy, nieznaną śledzącemu wcześniej. Historie życia wydają się całkowicie przypadkowe; co jeżeli są takimi tylko pozornie? Film pt. „Following” porwie nas w wir intrygi, która udowodni, że żaden „przypadek” nie jest wcale przypadkiem, a spójny wątek zostanie wzbogacony wieloma zwrotami akcji oraz nietuzinkowym zakończeniem.

Fabula w filmie Nolana opiera się na ewenemencie pewnego bezimiennego pisarza, który śledzi ludzi na ulicy. Robi on to zwyczajnie, z nudów, dla własnego spełnienia i ukontentowania; zbiera materiały o charakterach ludzkich do swojej powieści. Z początku pisarz ten nie zwraca na siebie uwagi, nie czyniąc niczego, co by mu zaszkodziło. Po pewnym czasie jed-

nak jego ekscentryczne hobby staje się bardziej angażujące. Zaczyna on poznawać osobiście śledzone przez siebie osoby. Z tego powodu nad pisarzem zaczyna wisieć niebezpieczeństwo.

„Following” Christophera Nolana posiada kilka cech, które czynią go niezwykle ciekawym wśród filmów o podobnej tematyce. Akcja jest prowadzona niechronologicznie, co dobitnie przypomina dobrze znany szerokiej publiczności film pt. „Memento” tego samego reżysera, mający swoją premierę dwa lata po „Following”, który jest jednak przedstawiany w innej formie niż ten tutaj. Aczkolwiek nieuporządkowana historia wcale nie wywołuje dysonansu poznawczego. Film ogląda się przyjemnie; pobudza umysł, choć nie zmusza do intensywnego myślenia. Ponadto jest czarno-biały, choć został wypuszczony na świat zaledwie 19 lat temu, co dodaje mu ważnej w całokształcie atmosfery i wprowadzenia w dziwną sytuację głównego bohatera, choć jego charakter i postępowanie mogą z początku wydawać się niezrozumiałe. Czujemy się spoufalerzeni z głównym bohaterem.

Choć Christopher Nolan zasłynął przed kilkoma laty trwającym niemalże trzy godziny filmem s.f. „Interstellar”, „Following” trwa niedługo ponad godzinę. To genialny kinowy debiut początkującego reżysera, który dał mu później możliwość nakręcenia takich filmów jak „Incepcja” czy seria o Batmanie. Bez dzieł Nolana kino bardzo by ucierpiało.

Grzeczność i kultura osobista

- kiedyś i dziś

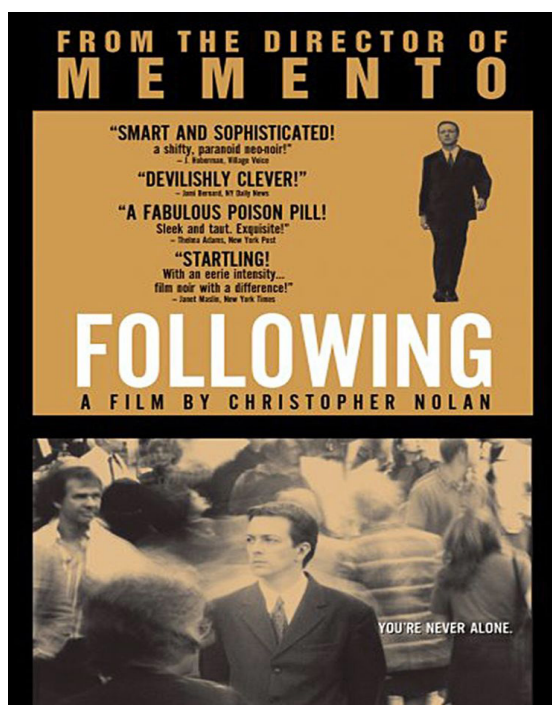
Piotr Górnisewicz

Pod pojęciem grzeczności rozumiemy sposób zachowania człowieka świadczący o jego dobrym wychowaniu i kulturze osobistej. Są to także gesty i słowa świadczące o uprzejmości kogoś.

Przykładem dzieła, w którym zasady grzeczności są dobrze ukazane, jest „Pan Tadeusz”. Adam Mickiewicz położył wielki nacisk na zobrazowanie zachowania, zwyczajów i obyczajów szlachty mieszkającej w Soplicowskim dworze. To postać Sędziego jako gospodarza określała i omawiała zasady dobrego zachowania, wygłaszając nauki na temat grzeczności: „Grzeczność nie jest nauką łatwą ani małą”. Młodsze pokolenie całuje w rękę osoby starsze, aby okazać im szacunek, mężczyźni służą pannom przy stole, a każda osoba wiedziała, gdzie powinna usiąść, by zachować hierarchię stanowisk przy stole. Przy spotkaniach nowo przybyłych osobowości mężczyźni się kłaniali, a panie wykonywały „dyg”.

W dzisiejszych czasach nie wszystkie te zachowania są stosowane. Rzadko już całuje się kobiety w rękę, bardziej popularne jest uściśnięcie sobie dłoni. Młodzież na powitanie całuje się w policzek. W komunikacji miejskiej dominuje zasada „kto pierwszy, ten lepszy”, również na drodze, jadąc samochodami panowie chcą okazać swoją wyższość, nie ustępując miejsca paniom. Z każdym pokoleniem dzieci coraz bardziej zaczynają panować na rodzicami, a ci z kolei nie chcą źle dla swoich pociech i pozwalają im na wszystko. Przekłada się to w pewnym momencie na to, że dzieci dominują nad rodzicami. Oznaką uprzejmości i grzeczności jest także używanie tzw. magicznych słów: „proszę”, „przepraszam”, „dziękuję”, które z przyjemnością chcielibyśmy słyszeć, lecz czy sami potrafimy je wypowiadać?

Podsumowując, zachowania, które były na porządku dziennym w czasach, kiedy toczy się akcja {„Pana Tadeusza”), dziś powoli odchodzą w zapomnienie z powodu szybko rozwijającego się świata oraz technologii. Większość kontaktów interpersonalnych zamyka się w zakresie komunikacji internetowej i telefonii. W celu podniesienia wartości relacji międzyludzkich chciałbym nakłonić wszystkich do stosowania zasad *savoir vivre* w życiu codziennym. Chociaż będzie to wymagało od nas pracy i poświęcenia, to w zamian przyniesie uznanie i wyższą ocenę naszej kultury osobistej.



Naturalna, przyjemna i efektywna nauka języków obcych - cz.2

Paweł Fornalik

W poprzednim artykule pokazałem Wam, dlaczego szkolne sposoby nauki języków obcych niekoniecznie korelują z działaniem mózgu. Przybliżyłem także bardzo potężną oraz naturalną metodę przyswajania obcego języka. W tej części odpowiem na pytanie: czego słuchać oraz co czytać, aby najskuteczniej rozwijać się w tym kierunku? Na końcu całą moją wypowiedź poprę przykładem z mojego doświadczenia.

W odpowiedzi na zadane powyżej pytanie przekazuję kolejną bardzo ważną zasadę: słuchajcie i czytajcie dla przyjemności! Tak, dokładnie! Nasz mózg najlepiej uczy się poprzez zabawę. Profit. Lubisz fantastykę? Używaj materiałów dotyczących fantastyki. Wolisz nauki przyrodnicze? Słuchaj i czytaj na ten temat. Tak, to jest takie proste! Ten typ przyswajania wiedzy rządzi się jednak pewnymi regułami: przede wszystkim te pomoce naukowe muszą być proste. Oznacza to, że mają być zrozumiałe w minimum 90-95%. Resztę możemy się domyślić z kontekstu, co jest dużo lepszą metodą od mozolnego wkuwania listy słówek. Dzięki temu bowiem widzimy dane słowo w akcji. Dodatkowo nasz mózg domaga się poznania danego słowa lub idiomu, bo dotyczy ona rzeczy dla nas interesującej. Przez to uczymy się całych zdań, a nie, już wspomnianych, pojedynczych wyrazów. Tym sposobem nasz mózg pozostaje dużo bardziej skłonny do wchłaniania informacji. Musimy również mieć styczność z dobranym materiałem codziennie i to jak najdłużej. Jednak to nie będzie dla nas problem, ponieważ jest to dla nas przyjemne. Myślę, że złotym środkiem będą 2 godziny. Możemy to robić w trakcie dojazdu do pracy/szkoły lub podczas uprawiania sportu. Szczególnie polecane jest właśnie słuchanie w trakcie poruszania się. Nasz mózg będzie efektywniejszy w przyswajaniu nowej wiedzy. Oczywiście należy być całkowicie skupionym podczas nauki, dlatego najbardziej polecaną dyscypliną w tym wypadku jest bieg długodystansowy. Wspaniała rzecz, ponieważ w tym samym momencie rozwijamy się fizycznie i umysłowo. Dwie pieczenie upieczone na jednym ogniu. Kolejną rzeczą, o jaką musimy zadbać, jest wielokrotne słuchanie jednej porcji materiału. Jeśli chodzi o książki, to możemy odpuścić tę zasadę. Niech będą one dla nas dużą przyjemnością. Jeden z najbardziej znanych nauczycieli angielskiego na świecie, którego elektroniczne lekcje sprzedają się w milionach kopii, wielokrotnie powtarzał, że jednorazowe wysłuchanie pojedynczego materiału to



zdecydowanie za mało. Swoją drogą, od niego (nazywa się A. J. Hoge) nauczyłem się prawie wszystkich metod, o których teraz piszę. Mówił on, aby jednej jego lekcji słuchać przez minimum przez tydzień po 2 godziny codziennie! Możecie być zdziwieni, ale już spieszę z tłumaczeniem. Za każdym następnym powtórzeniem uczymy się czegoś nowego. Raz zrozumiemy daną składnię wyrazów, w innym przypadku dowiemy się, kiedy używać dane słowo. Dzięki temu poznane słowa zostają wpisane do naszej pamięci długotrwałej. No i najważniejsze. Tym sposobem przestajemy myśleć, jak utworzyć dane zdanie oraz jakich konstrukcji gramatycznych użyć. Zamiast tego następne wyrażenia wypływają z naszych ust bez dłuższego zastanowienia, tak jak u ludzi mówiących w swoim ojczystym języku. A to jest nasz główny cel, zgadza się? Czy na podstawie tego, co powiedziałem, macie przestać uczyć się angielskiego w szkole? Odpowiedź brzmi: nie. Np. Anglicy też uczą się gramatyki swojego ojczystego języka. Jest to dobry sposób na poukładanie i usystematyzowanie wiadomości dotyczących różnych konstrukcji zdań. Dlatego polecane jest łączenie szkolnych metod z tymi podanymi przeze mnie powyżej. Na koniec chciałbym pokazać sobie za przykład. W podstawówce nie miałem praktycznie w ogóle angielskiego. I to ciągnęło się za mną latami. W gimnazjum byłem w najgorszej grupie, przez to napisałem egzamin gimnazjalny z tego przedmiotu słabo. Jednakże w szkole średniej natrafiłem na podane przeze mnie metody i zacząłem je stosować. Aktualnie z angielskim w szkole nie mam problemów, potrafię zrozumieć film, który jest w całości w języku obcym, a dodatkowo przeczytałem już kilka książek w tym języku.

Trochę się rozpisalem, ale mam nadzieję, że pokazałem, iż nauka języka może być ciekawa i efektywna. Zachęcam Was do korzystania z tych sposobów, które podałem, a także do szukania i stosowania innych. Podnoszenie zdolności językowych rozwija nasz umysł oraz może być bardzo przyjemne.

A nauka języków obcych jest przydatna, czasami nawet konieczna, w praktycznie wszystkich dziedzinach życia.

Guardians of the Galaxy Vol.2

Michał Ciborowski

Kosmiczna przygoda dostała drugi rozdział. Do którego zaśpiewał sam David Hasselhoff!

Niełatwo opisać ten film. Pierwsza część była space operą, listem miłosnym do Kina Nowej Przygody. Drugą najprościej przyrównać do wysokobudżetowej, pełnometrażowej kreskówki. I jest ona laurką ogólnie do lat 80-tych. Obecność Kurta Russela w obsadzie nie jest tego jedynym przykładem. Dzień wcześniej oglądałem „Flasha Gordona” z 1980 i słowo daję, ten kempowy, kiczowaty film nie jest bardzo odmienny od drugiej części przygód Strażników Galaktyki.

Jednak w tym samym czasie, nie jest to czysto komediowy spektakl. Podobnie jak pierwsza część, tutaj również najważniejsi są bohaterowie i ich relacje oraz dramaty. „Strażnicy...” podejmują motyw rodziny jeszcze mocniej niż ostatnie części „Szybkich i wściekłych”. I to działa. Wydawałoby się, że po jedynce potrafiącej wzruszyć widzów losami humanoidalnego drzewa, emocjonalna poprzeczka jest nie do przeskoczenia. A jednak się udało. Dwójka poświęca naprawdę dużo czasu, po prostu opowiadając więcej na temat tej dziwacznej drużyny. Podobnie jak poprzednio, fabuła



idzie naprzód w oparciu o proste schematy, jednocześnie stawiając na szaloną egzekucję. Jak wiadomo ze zwiastunów, Peter Quill w końcu spotyka swojego ojca. Ten okazuje się być znanym z komiksów kosmicznym bytem, występującym pod nazwą Ego. Rodząca się między nimi relacja stanowi oś historii. W międzyczasie drużyna jest również zmuszona do ucieczki przed kosmicznymi piratami oraz pewną zarozumiałą rasą kosmitów.

Całość toczy się jak „Imperium kontratakuję”. Ekipa rozdziela się, aby pod koniec zebrać się w miejscu ostatecznej kulminacji. Chyba nikogo nie zaskoczę, pisząc, że podróż przez galaktykę jest fantastyczna. Projekty nowych postaci, miejsc czy nawet statków kosmicznych to czyste złoto, niepozostawiające miejsca na nudę. Jakość efektów specjalnych również nie zawodzi. Prawdziwą niespodzianką natomiast są kolory. Film był kręcony kamerami RED, co niesie ze sobą prawdziwą kolorystyczną świeżość. Poprzednie dzieła Marvela miały z tym wyraźny problem, na szczęście „vol.2” dostarcza potrzebną zmianę.

Nikogo również nie zaskoczy, że nowa składanka piosenek z lat 80-tych jest absolutnie fenomenalna. Utwory takich wykonawców jak Fleetwood Mac, Looking Glass czy Electric Light Orchestra są tak doskonale wplecione w montaż filmu, że wpływają na cały jego nastrój. A czasem są wręcz elementem fabuły, podobnie jak w pierwszej części. Ciężko wyraźnie stwierdzić, która lista jest lepsza. Podczas napisów końcowych słychać również kawałek napisany specjalnie przez reżysera, w którym śpiewa sam David Hasselhoff! Czy wspominałem już o miłości, jaką ten film wyraża do lat 80-tych?

Uczciwie muszę wspomnieć, że można mieć kilka zarzutów. Przede wszystkim nachalna ekspozycja. Bardzo wyraźny jest schemat, według którego postacie zaczynają opowiadać historię swojego życia. Prawdopodobnie nie dało się tego uniknąć, ale pewnie możliwe było przedstawienie tego w nieco bardziej subtelny sposób. Gorszym problemem jest sam finał, a w zasadzie fakt, że spora część drużyny nie ma tam prawie nic do roboty. Jest to kolejna pułapka scenariusza, ale dosyć bolesna, patrząc na fakt, jak bardzo rozrosła się ekipa Strażników.

A propos Strażników, miło jest widzieć, jak rozwijają się bohaterowie, których pokochaliśmy w pierwszym filmie. Nawet ci najbardziej charakterystyczni (tak bardzo, jak charakterystyczny może być gadający szop z karabinem maszynowym) mają czas, by dowiedzieć się czegoś nowego

o sobie. Co bardzo wpływa na ten emocjonalny aspekt filmu. Aktorzy, którzy już poprzednio intrygowali, tutaj przechodzą samych siebie. Drugoplanowa postać z jedyńki tym razem wprost kradnie show. To jest aspekt, któremu konkurencja nie jest w stanie dorównać. Na tych bohaterach nam po prostu zależy. Nawet jeżeli w skali całego filmowego uniwersum są jak pyłki na wietrze, to troszczymy się o nich. Nie potrzeba oscarowych aktorów, by powoływać ich do życia, kiedy ci niszowi są tak dobrze dobrani i wykonują tak świetną robotę.

Duże wrażenie robią zupełnie odjechane sceny akcji. Dość powiedzieć, że pierwsza z nich toczy się przeciwko wielkiemu kosmicznemu potworowi z mackami. A i potem skala nie jest mała. Warto w tym momencie wspomnieć, że „vol.2” jest najbardziej brutalnym filmem Marvela. Jest to bardzo humorystycznie podana brutalność i na pewno nie jest przesadzona, ale wyraźnie widać w niej reżyserskie korzenie Jamesa Gunna. Gdyby pozwalała mu na to kategoria wiekowa, pewnie zrobiłby tu prawdziwą krwawą łaźnię. Niestety nie mógł, ale zamiast tego wyraził swoje geekostwo masą smaczków. Co chwila puszcza oko do widza, serwując znanych i mniej znanych aktorów w epizodycznych rolach czy wyciągając najdziwniejsze postacie z komiksowych kadrów.

Pierwsza część „Guardians” była dla fanów kosmicznych przygód „Gwiezdnymi wojnami” z dodatkiem rockowych szlagierów oraz dużej porcji tańca. Druga idzie o krok dalej, będąc filmem dla geeków. Wprowadzenie pewnych symboli lat 80-tych to efekt miłości, której reżyser ani trochę nie ukrywa. Gunn bawi się konwencją, wprowadzając pewne sceny tylko dlatego, że są zabawne. Fabularnie nie odbiega od wypróbowanych schematów, jednak potrafi wykonać je w unikalny sposób. Nie rzadko podlewając je niesamowitą dawką humoru.

Naturalnie nie chcę zdradzić zbyt dużo. Warto samemu przeżyć tą kosmiczną przygodę. Nie jest to tak dobry film jak poprzedni, a już na pewno jest mniej spójny. Ale jest wprost niesamowicie szczery w tym, co robi. Bo być może powstał również po to, aby pokazać komplikacje w różnych, w tym rodzinnych, relacjach międzyludzkich. Ale nie ukrywa, że powstał głównie po to, by być rozrywką. By wywoływać emocje, od uśmiechu przez szczere łzy. Nie potrzebuje oscarowego scenariusza, wystarczy mu prosta historia oraz grupa zaangażowanych aktorów. I efekt końcowy jest niezwykły. Cieszę się, że ten film powstał. Bo razem z pierwszą częścią tworzy dokładnie to, czego szukam w kinach.



Myślące maszyny

Jan Wielkiewicz

Już w pierwszej połowie XX wieku Alan Turing - wybitny, matematyk, kryptolog pracujący nad łamaniem szyfru Enigmy - niemieckiej maszyny szyfrującej, zaczął zastanawiać się nad tym, czy urządzenia tworzone przez człowieka, mogą myśleć. Jak na tamte czasy, była to szalona myśl, ponieważ wszystkie budowane wtedy maszyny, nawet komputery, nad którymi sam Turing pracował, musiały zostać zaprojektowane wcześniej do wykonywania konkretnego zadania, nie mówiąc już o tym, że moc obliczeniowa ówczesnych komputerów była wiele razy mniejsza od mocy obliczeniowej dzisiejszego zegarka cyfrowego.

Jak myślą maszyny? Podobnie jak w naszym mózgu, do budowania uczących się układów używa się neuronów, ale nie są to żywe komórki zwierzęce, tylko symulowane w komputerze neurony tworzące sieci, przez które przepuszcza się sygnały. Chcąc nauczyć sieć, by spełniała ona rolę, do której jest projektowana, trzeba ją „nagradzać” - jeżeli przy określonym sygnale wprowadzonym do sieci (np. obraz lub jakieś dane), otrzymaliśmy pożądaną sygnał wyjściowy, „pogrubiśmy” - zwiększamy wagę połączenia między neuronami, które jest odpowiedzialne za pozytywny efekt. Rezultatem takiej budowy i sposobu działania sztucznej inteligencji jest to, że podobnie jak w przypadku człowieka, im więcej się uczy, tym lepiej wykonuje daną czynność.

Gdzie uczą się maszyny? Algorytm brytyjskiej firmy DeepMind gra w proste gry komputerowe z lat osiemdziesiątych, np. Space Invaders, czy Breakout, która polega na odbijaniu piłeczki i burzeniu nią kolorowych cegiełek. Po 10 minutach grania w Breakout algorytm głównie zachowuje się jak upośledzone dziecko, natomiast po 2 godzinach zawsze trafia, odbijając piłkę w stronę cegiełek, aż w końcu po 4 godzinach odkrywa, że najskuteczniejszą metodą jest wydrążenie małego tunelu tuż przy bocznej ścianie, by piłka, która do niego wleci, odbijała się wielokrotnie pomiędzy górną krawędzią a cegłami. Co ciekawe, program nie dostaje żadnych informacji na temat gry - nie wie on, co oznaczają kolorowe figury pojawiające się na ekranie ani jak sterować, wszystkiego musi dowiedzieć się z surowego obrazu wyświetlonego na monitorze. Sztuczna inteligencja gra również z ludźmi - w 1997 roku komputer Deep Blue firmy IBM wygrał partię szachów z mistrzem świata Garri Kasprozem, jednak jego działanie było oparte głównie na rozwiązaniach siłowych, aniżeli na algorytmach głębokiego myślenia - przewidywał on wszystkie możliwe ruchy przeciwnika i wybierał najkorzystniejszy dla siebie. Prawdziwy triumf sztucznej inteligencji nad człowiekiem miał miejsce w 2015 roku, gdy program AlphaGo firmy Google DeepMind pokonał mistrza Europy Fan Hui'ego w chińskiej grze „Go”, polegającej na ustawianiu czarnych i białych kamieni na kreskowanej planszy tak, aby zagrozić jak największy obszar, wygrywając 5 do 0, a następnie w 2016 roku pokonał mistrza świata Lee Sedola z takim samym wynikiem. Jest to triumf sztucznej inteligencji nad człowiekiem, ponieważ „Go” jest grą, w której liczba możliwych ułożeń czarnych i białych kamieni jest zbliżona do liczby atomów we wszechświecie; z tego względu program nie jest w stanie przewidzieć wszystkich możliwych ruchów, jak miało to miejsce w przypadku szachów i by wygrać, musi on wykazać się swego rodzaju kreatywnością oraz intuicją, żeby pokonać przeciwnika. Zarówno Deep Blue jak i AlphaGo uczyły się, grając same ze sobą.

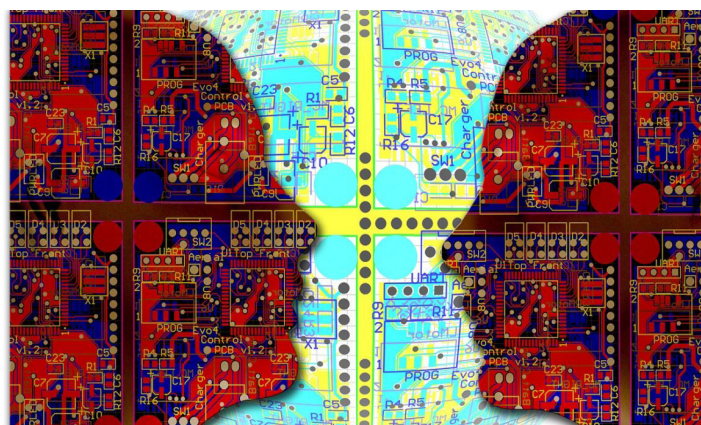
Jednak zastosowania sztucznej inteligencji nie kończą się na grach. Już dzisiaj, gdy szukamy obrazu w wyszukiwarce Google, sieć neuronowa z całkiem dobrą dokładnością ocenia jego

zawartość i przypisuje mu najbardziej pasujące hasło, podobnie ma to miejsce przy wyświetlaniu reklam - dobierane są one dzięki obserwowaniu, jakie strony są przeglądane przez użytkownika. Zastosowanie sztucznej inteligencji w centrum danych Google zaowocowało spadkiem rachunku za chłodzenie aż o 40%, co pokazuje, że tego typu algorytmy to żyła złota. Również komputer IBM Watson wyróżnia się swoją innowacyjnością - rozumie oraz potrafi używać ludzkiej mowy, samodzielnie uczy się, szukając informacji w sieci i wygrał amerykański teleturniej pod tytułem „Jeopardy!” konkurując z ludźmi, bez podłączenia do Internetu. Watson również jest prawdopodobnie najlepszym onkologiem na ziemi, ponieważ potrafi on przyswoić ogromne ilości danych z tej dziedziny, czego człowiek nie zdołałby zrobić przez całe życie.

Prawdopodobnie w najbliższych dwóch dekadach samochody bez kierowców będą same wiozły nas do celu. Jest to szerokie pole dla sztucznej inteligencji, ponieważ auto wstępnie zaprogramowane przez ludzi do radzenia sobie na drodze, nie będzie przygotowane na wszystkie sytuacje, tak samo jak człowiek, który właśnie zdał kurs na prawo jazdy. Wyobraźmy sobie autonomiczne pojazdy informujące się nawzajem o swoim położeniu, wspólnie podejmujące decyzje o prędkości i czasie skrętu. Zastosowanie takiego rozwiązania pozwoliłoby wyeliminować sygnalizatory świetlne z ruchu drogowego, ponieważ samochody, wiedząc, gdzie znajdują się i gdzie będą inni uczestnicy ruchu drogowego, mogą wymijać się z dużą prędkością, nie powodując kolizji. Zastosowanie myślenia maszynowego w tej dziedzinie sprawiłoby, że podróżowalibyśmy szybciej, bezpieczniej i moglibyśmy zajmować się innymi rzeczami w czasie, gdy samochód sam dowiezie nas do celu. Ale co gdy nie dałoby się zapobiec wypadkowi, czy program mógłby poświęcić jedną osobę, by uratować więcej ludzi? Zapewne duża część z nas odpowiedziałaby, że jest to racjonalne podejście, ale raczej nie chcielibyśmy jeździć takim autem.

Prawdopodobnie w przyszłości sztuczna inteligencja zastąpi ludzi w wielu dziedzinach, takich jak wspomniana medycyna, edukacja, a może nawet będzie podejmować za nas decyzje dotyczące działań militarnych, traktując pole bitwy jako jedną z gier strategicznych jak szachy czy „Go”; maszyny mogłyby prowadzić wojnę skuteczniej, niż którykolwiek człowiek w historii. Czy doprowadzając do sytuacji, w której bezduszne maszyny walczą przeciwko sobie, nie usuniemy z wojny resztek człowieczeństwa, sprawiając, że będą one niszczyły wszystko na swojej drodze, by osiągnąć wyznaczony cel?

Sztuczna inteligencja wkrada się powoli w każdą dziedzinę naszego życia, jest tylko kwestią czasu, zanim maszyny będą w stanie zrobić wszystko tak samo dobrze lub lepiej niż człowiek. Każda nowa technologia pojawiająca się na przestrzeni wieków niosła ze sobą zarówno zagrożenia jak i korzyści, jednak sztuczna inteligencja to pierwszy wynalazek, który potrafi myśleć i nie będzie potrzebował człowieka, dlatego musimy rozważyć korzystanie z niej, by służyła dobrym celom i nie obróciła się przeciwko nam.



Automat z piekła rodem

Jan Kuśmierczyk

Zastanówmy się nad najważniejszymi elementami, jakimi cechuje się dobra gra. Kucyki? Sq. Wyspa, na której dzieje się akcja? Jest. Twórca gry w postaci diabła? Jest?

Gra z prawie półtorarocznym kontaktem ze społecznością graczy, czyli „Pony Island” to produkt autorstwa twórcy gier „indie” Daniela Mullinsa. Trudno jest dokładnie określić jej gatunek, ale najodpowiedniejszym terminem będzie „gra w grze”. Wydana dokładnie 4 stycznia 2016 roku skutecznie utrzymuje swoją popularność. Z współczuciem dla fanów malutkich koników muszę napisać, że głównym czynnikiem nie jest jednak tytuł, który okazuje się mylący. Autor postanowił rzucić na drugi plan motyw wyspy z kucykami, dając pole do popisu bardziej interesującemu wątkowi, jakim jest oswobodzenie naszej duszy z sideł przeklętego automatu do gier stworzonego przez... szatana.

„Pony Island” to genialnie spędzone niecałe 4 godziny. Gra jest przepełniona dobrym humorem i zagadkami, które musimy rozwiązać, aby wydostać naszą duszę z automatu i zniszczyć piekielną grę. Pierwsza niespodzianka pojawia się po paru wstępnych próbach sterowania kucykiem podczas początkowego etapu przypominającego platformówkę, kiedy pojawiają się pierwsze błędy w kodzie. Od tego momentu tytuł przestaje już zdawać się adekwatny do samej gry, a czas przeznaczony na kucyki drastycznie spa-



da. Rozgrywka przechodzi w inny wymiar. Rozpoczyna się „gra w grze”, gdzie głównym przeznaczeniem będzie wyszukiwanie luk w programie do prowadzenia zmian w kodzie oraz powstanie struktura podobna do myszkowania po pulpicie komputera z systemem operacyjnym Windows. Podczas przeżywania tej przygody dane nam będzie również spotkanie po drodze sojusznika. By gra nie okazała się zbyt prosta, jej autor będzie rzucał graczowi kłody pod nogi, efektywnie opóźniając przejście gry.

Gra taka jak „Pony Island” w zabawny sposób przedstawia myśl, że gry to dzieło szatana. Idealnie nadaje się dla uczniów naszej szkoły. Tematyka pojedynkowania się z szatanem na programowanie brzmi jak dobry pomysł na spędzenie wolnego czasu lub odłożenie jego odrobiny na zbliżające się już wakacje. Rozgrywka nie powinna zająć więcej niż 4 godziny, a przejście tej gry mocno usatysfakcjonuje każdego gracza.

